

Zm. 417/32r.



NUMER POJEDYŃCZY 10k.

M.B.

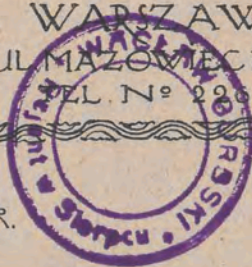
ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA N°5
TEL. N° 226-83.

N° 3005

WARSZAWA
DNIA 23 GRUDNIA 1911 R.



1.



Gorze było nieszczęsnym maruderom...



Dwór to był wiejski, nie wspaniały, nie rozległy, tylko w lipy rozłożyste i w topole strzeliste bogaty, barwami kwiatów niewymysłnych świecący przed domem, którego białe ściany nie wysoko wznosiły się nad ziemią, okryte dachem może i nie ze słomy uczynionym, ale do strzechy słomianej podobnym.

Dzień letni, pogodny skończył się był przed chwilą, słońca na niebie już nie było i tam gdzie ostatni rąb ognistej tarczy jego zniknął, łagodna zorza wieczorna zalała skłon nieba bladem złotem i jasną purpurą. Od ziemi szły w powietrze pachnące oddechy kwiatów i wstępował w nie zmierzch powolny, nad którym w górze zaświeciło trochę drobnych gwiazd. Ku górze wzbijały się w zmierzchu strzeliste linje topoli i widać było na tle złotej zorzy, równie jak one ciemną i cięższą niż one dzwonnice kościelną.

Ganek domu pełen był niewyraźnych postaci ludzkich. W zmierzchu i wśród gęsto po słupach ganku wijących się pnączy, rysy i kształty ich stawały się niewyraźne i zmaćcone, ale widać było głowy ciemne, płowe, siwe, ruchy ramion silnych, wątłych, prędkich, powolnych i słychać było rozmawiające głosy męskie, niewieście, młodzieńcze. Siedziały niewyraźne postacie te na ławkach, u samej prawie ziemi, stały u słupów, mając zielonych pnączy gałęzie na głowach i ramionach, przybliżały się ku sobie i od

siebie oddalały, znikwały w głębi domu i powracały znowu.

Głosy ich zniżały się, przyciszały, spadały do cichego szmeru. Nadeszła pora milczenia natury, wyraźnej na tle zorzy strzelistości topoli, smętnego dogorywania blasków dnia...

Zniżony głos kobiety na ganku przemówił:

— Zaraz na Anioł Pański zadzwonią...

Inny męski monotony podjął:

— W Polsce na Anioł Pański dzwonią inaczej niż na szerokim świecie...

Ktoś dzwięcznie zagadnął:

— Te trzy uderzenia dzwonu?

Kto inny odpowiedział:

— Te, pomiędzy trzema strofami do modlitwy wzywającemi; trzykroć powtórzone trzy uderzenia dzwonu...

— Takie przewlekłe głębokie i dzwięczne...

— Trzy uderzenia dzwonu za tych...

— Za kogo?

— Gdzieindziej uderzeń tych niema...

— Tych trzech uderzeń kościelnego dzwonu...

— Bo modlitw niema za tych...

— Za kogo?

— Co piekło na ziemi przebyli...

— Za tych są te trzy uderzenia...

— Te, pomiędzy trzema strofami do modlitwy wzywającemi, trzykroć powtórzone trzy uderzenia dzwonu...

ELIZA ORZESZKOWA.



„WOJNA NARODÓW”

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.

Zdawało się, że z każdej pobitych mogiły,
Nowe rotę mścicieli na plac wychodziły.
Cyprjan Godebski.

I

Rok był tysiąc ośmset trzynasty — rok nowy.

Ludzka rachuba nową zaczynała księgę dziejów, liczbą obrotów ziemi usiłowała słupy graniczne stawić na fali wyroków. Ludzka rachuba znów mniemała, że, nową postawiwszy liczbę, nowe czasowi dając nazwanie, targnie łańcuchem historii, przetnie go, bieg jego zmieni. Ludzka rachuba znów przepomniła, iż dzieje narodów mają swe własne dnie i noce, wiosny i jesienie, że o dniach tych i porach dopiero pleśń wieków orzec jest władna, kędy był której wschód a zmierzch kędy.

Jakoż rok ten nowy — rok trzynasty miał być jeno ciągiem huraganu, który od lat, wielu lat szalał ponad Europą.

Od lat trzydziestu niemal, zanim ciało Karola XII zdołało w proch się rozsypać a wojska Fryderyka Wielkiego i Marji-Terezy żałobne swym władcom wystrzelać salwy — gorzał płomień wtórych wojen trzydziestoletnich, gorzał i szedł od kraju do kraju, od narodu do narodu, gasł w jednym miejscu dla tego bodaj, aby w drugim z tem większą wybuchnąć siłą, za morza wędrował, niknął z oczu i wnet wracał potężniejszy, zawziętszy, krwawszy.

Od lat trzydziestu nie milkły armaty, nie ustawały bitewne okrzyki, nie cichły pomruki ludów, sposobiących się do pomsty, odwetu, napaści czy zalewu. Od lat trzydziestu lament jednego narodu był radością drugiego, mogiła jednych — życiem drugich.

Wojna taczała się od końca do końca, niekiedy wracała na ledwie zazielenione polowiska, jakby nie dość jeszcze miała tam gruzów, trupów, głodu, nędzy. Biada wówczas była ziemiom, które, w środek Europy wciśnięte, na szlaku wojennym ludów się znajdowały, — biada narodom, w dziedzictwie których krzyżowały się drogi klęsk, biada krajom ubogim w górskie ościenie, biada mieszkańcom żyznych, dostępnych równin. Tacy już nie mieli ani opóźnienia, ani czasu

na obsianie kulami zrytych pól, takich huragan porwał, niósł, tarzał we krwi i darł na strzępy.

Od lat trzydziestu trwały wojny. Z początku bezładne, rozstrzelone, niby pierwsze gromy nadciągającej burzy. Wszczynały się, wybuchały gwałtownie i gasły, cichły... Tu i owdzie dobywało się imię wodza, bohatera zaryło się złotymi głoskami w sercach współobywateli i zbiegło ku wspomnieniom, ku tęczowym promieniom legend.

Tak minęły lata, aż z posiewu krwi i żelaza z żagwi wielkiej Rewolucji francuskiej narodził się człowiek, dźwignął się Bonaparte, począł się Napoleon. Począł się jak piorun, bo już poraził, już uderzył, zanim zygzakiem płomienną swą naznaczył drogę, zanim łomotem moc swą obwieścił.

I stało się, że ludy patrzyły nie chmur na sklepieniu podniebieskiem, lecz zmarszczek na czole Napoleona, nie uśmiechu Wszechpana w aureoli wschodzącego słońca, lecz skrzywienia ust cesarza.

Bonaparte targał posadami państw i losami narodów, — dla jednych był Atyllą i Tamerlanem, dla drugich Cezarem i Aleksandrem, dla trzecich Hannibalem, pochodnię odwetu i pomsty niosącym, mytem, widziadłem dla czwartych, dla piątych gienjuszem, dla innych znów potworem, rozbojnikiem, przywłascicielem, zbawcą i dobroczyńcą, ukołchaniem i nienawiścią, wielkodusznym mocarzem i głębokim politykiem, wybrańcem fortuny i nieszczęściem, mrokiem i światłem, błogosławieństwem i klątwą, aniołem i upiorem i — bóstwem.

Napoleon rządził, panował, świecił tryumfy i trwał. Trwał i nie pragnął już nowych zwycięstw, syt był i bitew i wawrynow i danin, a jednak fala wlokła go, nie dała mu ustać, wskazała Ratysbonę, Eckmühl, Wagram i rzuciła wreszcie ku murom Smoleńska, polom Mołajaska, wieżycom Kremlinu a może szczytom Himalajów.

Nie chciał Bonaparte wojny z Austrią w roku dziewiątym, sromął się kampanji roku dwunastego — lecz fala rwała, unosiła go, parła.

Aż stało się.

Wielka armja, mimo zwycięskie bitwy, mimo gwałtowne marsze, baczne rachuby, mimo potęgę męztwa — znikła, stopiła się w gromady wędrowców, w bandy zgłodniałych włóczęgów, kalek, zbójów, w milowe szlaki kościotrupami usłane.

Kto zgubił wielką armję?

Próżno dociekać, bo choć lata podpowiedziały dziejopisom, aby te lub inne czyny lub klęski nazwać błędami króla Hieronima, niesnaskami marszałków, złem zaprowiantowaniem, lekceważeniem sojuszu ze Szwecją, nie poprzestaniem na Smoleńsku, łupieżstwem, utrudniającem odwrót armji, pożarem Moskwy, przedsiębiorczością Roztopczyńską, czy taktyką Kutuzowa, wyjątkowo ostrą zimą, stepieniem energii Napoleona, nie dość szczerą polityką w stosunku do Polaków, — skierowaniem odwrotu armji na tą samą drogę, którą przebyła — drogę ogłodzoną, — zbyt późnem rozpoczęciem kampanji, — choć czas podpowiadał dziejopisom setki innych tym podobnych błędów — pogrom roku dwunastego ani na jotę nie stał się łatwiejszym do pojęcia. Bo gdzież i jakąż miarę przykładać do tego, który dzieśiątkami pokonywał tysiące, który słowem jednym uśmierzał głód, pragnienie całych pułków, który miał pod sobą tych, co alpejskim urągali lodowcom, a śnieżyc i srogich mrozów zaznali już pod Iławą, — którego życie przeczyło ładowi ludzkiej logiki, który niepodobieństwo miał u nóg swych pełznące, który jednym rzutem umiał każdy błąd naprawić, każdy cios odparować i każdy zadać.

Rozszalała toń morską łomocze opokę, pianą zalewa, wyje a skały stoją harde, niewzruszone. Naraz, z miliona fal, porwał się garb skłębiony i, zanim ogarnąć się pozwolił, już runął, złomami opoki bluznął, zburzył skałę i już zginął, zapadł się w tą samą toń, z której się począł. I któż najdzie, kędy był tego morskiego tytana początek, któż ustanowi, czy moc wielka go pochłonięła czy — niemoc.

Tak z mocarzami morza, tak z Napoleonem.

Rok był trzynasty — rok nowy w pojęciu ludzkiej rachuby, a w istocie niczem w początkach swych nie różny od ostatnich dni grudnia roku starego. Ten sam mróz zawzięty i nieubłagany w lodowatych uściskach, też same sznury nędzarzów, ciągnących ze wschodu na zachód, też same widma człowiecze cisnące się do ognisk, też samo skostnienie uczuć, odrętwienie serc.

A przecież zdawało się, że za Ponarskimi górami, kiedy kozackie watahy raczej dla postrachu niż napaści ukazywały się niedobitkom, maruderom, kiedy wojna

już niemal wygasła, odeszła za Niemen, zdawało się, że szczątki wielkiej armji nakoniec dobędą się z błędnego koła lamentu. Przeznaczenie atoli okrutną zgotowało niespodziankę francuskim rozbitkom. Od Berezyny mróz nadewszystko wzmógł się a wraz z nim dźwignął nowy wróg, straszniejszy od mrozu, głodu, chorób, niewoli i kul — wróg nieubłagany, potworny w zapamiętałości...

Już od Wilna począwszy — po Kowno, Gombin, Insterburg i Ostród gruchnęła wieść, o skarbach, dźwiganych przez wracających żołnierzy a z wieścią tą zerwała się chciwość i chęć odwetu za spustoszony dobytek, za gwałty i bezprawia, których idący na wojnę nie skąpili nawet tym, których biuletyn cesarski sprzymierzeńcami nazywał.

Jakoż za pojawieniem się pierwszych maruderów, cichy kміeć litewski szukał koła, Żmujdzin pięścią witał zbłąkanego nędzarza a co Niemcy i żydzi — całe oblawy nań przedsiębrali.

Od Berezyny, od Wilna na szczątki wielkiej armji czyhał mord, mord rannych i kalek, mord bezbronnych, wyczerpanych, żebrzących łyżki strawy, mord wśród snu i mord w biały dzień, mord za każdy niebacznie pokazany kawałek złota, za cień posadzenia o zdobycz. Karczmarz, arendarz, kміeć nie znał upamiętania a jeżeli brakło mu impetu do noża lub pałki — mordował, zabijał wyzyskiem, zdzierstwem i jak hijena tropił trupy i obdzierał je.

Tu i owdzie w szlacheckim zaścianku, na pańskim dworze, sentyment trwał dla imienia Bonapartego, tu i owdzie gościnne progi ostatkiem zapasów dzieliły się z rozbitkami — ale były to wyjątki. Kto możniejszy ten uszedł, ten do miasta odległego się schronił. Magnackie rezydencje stały pustkami. Po grodach i osadach strażowały rosyjskie załogi, w ustroniach grasowały zbójckie szajki.

Gorze było nieszczęsnym maruderom wśród leśnej głuszy napotkać ludzi, gorze pójść zmarzłym ku mrugającym w oddali światłom, gorze w pojedynkę lub choćby samotrzeć do chaty, karczmy zapukać. Snadniej było wilkom się napraszać.

(d. c. n.)





Stefan Popowski.

(Tow. Z. S. P.)

PO BURZY.

NIEZZĘTY KŁOS.

*Z mojego lata niezzęty
na polu pozostał kłos —
i dziś go srebrzą i bielą
bisiory zamarzłych ros...*

*Śnieżyce białe się ścielą
i wichry zawodzą w głos:
— z twojego lata niezzęty
na polu pozostał kłos... —*

*Zebrałem wszystkie miłości,
którymi darzył mnie los...
gdzież miłość nasza? Na polu
niezzęty pozostał kłos...*

Edward Stoński.



Tam, gdzie na biednej, zdeptanej mogile...

*...Tam, gdzie na biednej, zdeptanej mogile,
Co jest, jak skarga tej ziemi bezgłosa,
O szarym świetle srebrzy się łez rosa
I szumią tęsknie trawy i badyle,*

*Gdzie nikt oddawna nie płacze, nie kłeka
Dla odmówienia za zmarłych pacierza,
Gdzie z jadłem w „Dziadów“ noc nie stoi dzieża,
Gdzie śpi snem wiecznym czyjaś krwawa męka,*

*Gdzie tylko jeden deszcz jesienny płacze
I smętny, polski powicher zawodzi,
Gdzie nigdy inni nie gędzą rapsodzi,
Ani tęskniący na grobach tułacze,*

*Gdzie zimą tylko śnieg chwasty oprósza
I żal, jak szczenię kopane, skowyczy,
Gdzie bezmiar krzywdy, łez ciężkich, goryczy,—
Tam jest mój dom i tam jest moja dusza!..*

Wacław Wolski.



P O Ł Ó W.

*Niewód tęsknych myśli rzuciłem w obtoki,
Piorunowej mocy pragnąc dostać z dali...
Ciągnie wielkiem niebem niewód mój szeroki—
Ciągnie niewód wichrem po obłocznej fali —*

*Piorunowe węże łowi z chmury łona,
Gdzie zakłeta drzemie żyznych dżdżów posoka...
Przebóg! błyskawica przeży się złowiona
I przepala gromem niewodowe oka!*

*Budzą się w przestrzeniach utajone deszcze,
Łez potokiem gaszą skrzący snop purpury...
A ja—tęskny rybak—niewód rzucam jeszcze
Na piorunne węże — na zwichrzone chmury!*

Walenty Zieliński.



St. R. Lewandowski.

(Tow. Z. S. P.)

MICKIEWICZ.

WIKTOR GOMULICKI.

„Walc nocnych mgieł“.



Przybyłem tu w deszcz, w zawieruchę, w burzę. Wicher trząsł pociągami, którym darłem się przez gęste, błyskawicami rozszarpywane mroki, ulewa biczami wody chłostała dzwoniące szyby, upiory wspomnień gnały przedemną i za mną — a skulony w rogu ławeczki komiwojażer w kratkowanej czapce z guzikiem, z flanelowym pasem na brzuchu, sięgający po raz dwudziesty po butelkę z *Krautbittermagenwasser*, zahaczał mnie uwagą:

— Tylko szalony, terminowy „biznes“ może zmusić porządnego człowieka do podróżowania w taki psi czas...

Nie odpowiadałem — co go obrażało.

— Ja — syczał ze złością — pędzę do Kołobrzega, aby nie dopuścić do bankructwa domu, w którym *jesteśmy* poważnie zaangażowani...

Pochylał głowę, ukazując wierzch swej czapki — przyczem sterczący beczelnie guzik zdawał się wygrażać mi i pod groźbą do otwarcia ust zmuszać. „A ty?.. a ty?..“ —

nalegała na mnie natarczywie ciekawa, impertynencka, nieustępliwa wypukłość.

— A ja — wyjąkałem wreszcie pod przymusem, napróżno walcząc ze wstydliwą potrzebą [tajenia się — ja... jadę szukać kobiety!

Prawie dla każdego mężczyzny jednym z głównych celów życia jest szukanie kobiety.

Czasem bywa to zwykłą żądzą, i wówczas grozi jedynie ruiną zdrowia. Czasem wyradza się w namiętność, i staje się niebezpieczną dla całego człowieka manją. Czasem tak rozhartowuje duszę i rozluźnia wszystkie sprężyny woli, że zmienionego w automat mężczyznę, czyni w końcu: bezużytecznym, zawadzającym, wstrętnym śmieciem...

Biada nam, artystom, gdy w ten ostatni potrzask schwytać się pozwolimy!

Tylko szalone, bezwzględne, bezpamiętne oddanie się Sztuce wyrwać zdoła artystę ze szponów dziwożony. Tylko wówczas, gdy w bezmiarze boskiego Piękna zaprzepaści się on i zaczeluści, liczyć może na ocalenie...

Nie do mnie to się odnosi.

Śpiewy syren w morskich topielach, płąsy rusalek przy księżycu, wabienie kołyszących się na gałęzi dziwożon... Zawsze z tego śmiałem się i śmieję.

Ale jest rzecz gorsza: pożądanie czegoś, czemu nie można nadać kształtów — i co może kształtów żadnych nie posiada!

Anioła i szatana wcielić potrafię. Kobietę, której szukam, nigdy mi się zmysłem wzroku pochwycić nie dała...

Ileż gliny napsulem, ileż kartonów węglem, ołówkiem, kredą zasmarowałem, usiłując nadaremnie wydobyć ją z nicości! Petrarka, gdy Laure chciał ujrzeć, oczy zamykał. Ja również w każdą noc bezsennej wzrok w ciemnościach zatapiam. Niestety! jawią mi się tylko obłoczki świetlane, rozplywające się, niepochwytne...

Jest to coś więcej, niż męka twórcza artysty. Jest to głód i łaknienie, które śmierć sprowadzić mogą. Jest to także nostalgia, każda godzinę dnia i nocy zatrzymująca.

Ile razy, potem okryty, z wysiłku omdlewający, ulepię niezdarną dla myśli swej formę — rozbijam ją. Zdarza się niekiedy, że o tem zapomnę, lub czasu na to nie mam. Robię wówczas z ocalonej formy symbol świę-

tości, natchnienia, tęsknoty do Boga, żalu za rajem utraconym — i ludzie tem się zachwycają. O głupcy!

Mieć lat przeszło czterdzieści i jeszcze swojej kobiety nie posiadać — cóż za nędza! Nie wiem czy naprawdę mężczyzna dopiero w zespoleniu z kobietą staje się całym człowiekiem; wiem jednak, że artysta bez tego zespolenia nie będzie nigdy całym artystą. Petrarka bez Laury, Dante bez Beatryczy, Mickiewicz bez Maryli, czyż byliby tem, czem ich znamy?

Ja mi dajcie, a wówczas dopiero do-
wiecie się: kto jestem, co mogę!

Miałem raz chwilę słabości: użaliłem się na swą mękę przed żoną. Ona mi na to odrzekła, nie patrząc na mnie, i mowę zwracając przez pół do siebie, przez pół do białych łóżeczek, w których spały dzieci nasze:

— Tacy żenić się nie powinni...

— — — — —
Napadała mnie chwilami wściekłość. Złorzeczyłem losowi, i złorzeczyłem sztuce, której służalcem los mnie uczynił. Rzeźba, od lat dwudziestu trzymająca mnie w kamiennych objęciach, ciążyła mi, jak bronz i mar-

mur, którymi się posługuje. Przeklinałem jej niemoc, sztydziłem z ograniczonej skali jej działania. Niewiele brakło, abym pod pracownię swą podłożył ogień, z dymem ją puścił...

Cóż można wyrazić w bryle monochromicznej? Gdy marmurowo-biała — odpowiednia tylko na nagrobki. Gdy ma ciemne zabarwienie bronzu, przedstawiać może od biedy: nieruchomą, stężalą rycerskość.

Nie mogłem swojej kobiety wykuć w białym marmurze, bo nie jest błazącym po polach Elizejskich cieniem, lecz najdoskonalszym życia i jego powabów symbolem. Nie mogłem odlać jej w bronzie, bo nie w sobie rycerskiego ani stężalego nie ma. Nie dla niej kamień, nie dla niej metal, nie dla niej cała trójwymiarowa sztuka.

Już i polichromji próbowałem. Nie doprowadziło mnie to do niczego. Robotę, w połowie ukończoną rzucać musiałem. Bo czyż ja wiem jaką barwę mają oczy, włosy i policzki mojej kobiety?

Czemuż nie jestem poetą lub muzykiem! O wiele łatwiej przyszłoby mi rymami ją odmalować, na skrzypcach lub wiolonczeli wyśpiewać...
(d. c. n.)



[Michał Wywiórski. (Tow. Z. S. P.) Z LUBEKI.



Kazimierz Mordasewicz. (Tow. Z. S. P.) Portret p. S.

„STARE LWY“.

POWIEŚĆ.

I.

Nie tak to prędko jeszcze miało słońce opuścić sklep niebieski i zatopić się w głębiach niezbadanego świata, a już mgły i mroki zaczęły snuć się wokoło Przemszy-Czarnej źródlisk, pokrywać się wilgocią szerokie liście łopianu i szaleju, a chłód powiewać od skał popekanych, obrosłych fantastycznie powojami i chmielem dzikim. Więcej tu jednak było zieleni i świeżości roślinnej, niż byś się mógł spodziewać w dniach pierwszych listopada, kiedy to Jesień, pokonawszy upały letnie, otrząsnąwszy wszelki owoc rodzajny, zamknąwszy gromy i błyskawice w chmur gardzieli a dzień skróciwszy: sama na stolcu wielkoksiażęcym usiedzie i nuż, wedle fantazji swojej a smaku, pocznie rozsnuwać mgły srebrzyste w dolinach, dale sinością zalewać, czerwienić i złocić drzew umierające liście a później z tych ozdób królewskich lasy całe odzierać, szmaragd modrzewi i sosen przesypywać spłowiałą barwą fioletu, wieczorami chłodne perły rozsadzić, nad rankiem mrozem białym dzierżyć zioła i trawy.

Władztwo Jesieni — to władztwo zadumy i rezygnacji... Pasma babiego lata, osnuwające ścierniska suche; zamierające szmery wód; wiatr, uderzający w konary drzew nagie; liście, odrywające się z gałęzi i spadające cicho, niby motyle umarłe a tak dziwnie szeleszczące pod stopą twoją — zali nie mówią nie o tej prawdzie codziennej, że koniec przyjsć musi stworzeniu wszelakiemu, i temu liściu i tobie, mizerny człowiecze!.. To też i w płynących wodach Przemszy-Czarnej więcej teraz spokoju i zastanowienia widzisz: nie uderza już o brzegi kwieciste, białą pianą nie pryska, nie rzuca się na głązy na drodze jej biegu stojące — miast kwiecie tuścić o mchy cichemi falami potracą, uderza o kamienie lekko — sennie... i wzdycha!..

Spokój — cisza!..

Liście okapują złotem — —

Srebrne nici babiego lata wiążą drzewa i krzewy. — —

W dolinach chłód i mrok — nad lasami chmur pożar.

Aż oto w skalistych jarach dał się słyszeć szelest rozrywanych gałęzi, krótki stuk kopyt końskich i rzenie ciche:

Hej!.. hej!.. nie zwykła to rzecz w onym ostępie zapadłym, pełnym wyrw i rozpadlin, łapami niedźwiedzi i kłami dzików jam porytych; kędy ni razu jeszcze nie ozwał się dźwięk myśliwskiego rogu; kędy najśmielsza stopa wędrowca nie zabłąkała się dotąd. Chyba zbój a zwierz bezpiecznego tu dla się schroniska szukają, zabłądzi tu chyba nie-szczęście albo zła dola ludzka, spragniona ukojenia i ciszy.

Przez gęstwą krzewów i traw przedziera się jeździec jakiś, snadź dróg nieznający. Patrzy przed siebie, za siebie, to unosząc się w strzemionach szerokich, baczny wzrokiem rozgląda się dookoła. Dwa jatangany przy siodle ma, topór pod lewą nogą, przy boku miecz. Twarz ogorzała, lecz młoda i piękna, wąs bujny, orle oko, na czole bruzda głęboka, nie rylcem lat, lecz dłutem trosk wyrzeźbiona. Usta ściśnięte nieco i pobladłe, ale znać było, że gdy się uśmiechną, krew i żar z nich uderzy. Lisia czapka na głowie z piórem sokolem, przez plecy przerzucona wilczura, wilczym pyskiem spięta u ramienia.

Zmierzchało — —

Koń szedł wolno po nierównym a kamienistym gruncie, jeździec go nie przynaglał ni powstrzymywał. Zda się, że z umysłu wodze popuścił, więcej licząc na instynkt zwierzęcia niż własną roztropność. To też rozumne zwierzę sumiennie wywiązywało się z zadania: omijało doły i wądoły, wykroty i skał przepukliny, aż po chwili, na łagodną wyżynę się wspiawszy, w las szczery się już zanurzyło, przyspieszając kroku, jakby w pobliżu gościniec albo sadybę ludzką przezuwało.

Łatwiej jednak w pustynnym kierować się stepie, niż w borze zacieśnionym, jednostajnym, porysowanym zewsząd drzew słupami, nakrytym baldachimem liści szumiących. Wszędzie morze zieleni i wszędzie, nieobjęte okiem, kolumn szeregi...

Gotycka świątynia obłędu — —

Na twarzy rycerza widać niepewność: zali jedzie tam, dokąd zamierzył? Zmęczone bezsennością powieki i kurz na ubraniu, mówiły, iż nie dzień jeden już jest w podróży; że z dalekiego świata przybywa w zupełnie obce dla siebie strony; że zresztą unikał dróg prostych, gościńców bitych, zajazdów

wygodnych; że będąc snem nieraz zmożony, pod dębem albo sosną na ziemi się kładł, bo dużo igliwia i liścia miał na ubraniu i buty szczerą ziemią osypałe.

Jechał już czas pewien, na lewo to na prawo patrząc — ale oblicze lasów nie zmieniło się w niczem. Znać jednak było, że nadziei nie tracił, bo z pewną otuchą rozglądał się dookoła i szeptał:

— Modrzewie — —

Widocznie szukał krainy drzew tych, a nigdzie takim jednolitym a szerokim pa-

sem nie zasiały się, jak na tym wielkim obszarze ziemi kaliskiej, w kilku-milowym promieniu po obu stronach Czarnej-Przemszy i jej źródlisk. Snadź jakąś wskazówką były mu te lasy modrzewiowe.

Nagle ostrogę dał koniowi i naprzód pomknął.

W oddaleniu pewnem dojrzał chłopię wiejskie, zbierające szyszki opadłe z drzew modrzewiowych. Bezmyślnie jednak ono zbieranie było, bo, podjęte, wnet precz ciskało. Zapadający gdzieś za ziemię promień słońca,



— Zbłądziłem — mówił rycerz. — Czy nie możesz, mały, wskazać mi drogę do Ogrodzieńca?



krwawym blaskiem przedzierał się przez lasu podszycie i złocił płowy włos chłopca. Chłopak był w wieku, w którym dziecięstwo z młodzieńczością się zмага. Mniej więcej około siedemnastu lat mieć musiał. Twarz miał poważną i bardzo piękną; strój na pół wiejski, na pół dworski, splamiony i zaniedbany.

Jeździec zbliżył się i tuż przed nim konia osadził.

— Pochwalony...

— Na wieki wieków — odpowiedziało pachole.

— Zbłądziłem — mówił rycerz — Czy nie możesz, mały, wskazać mi drogę do Ogrodzieńca?

— Do osady, czy do zamku? — spytał chłopiec.

— Dooo... zamku. — —

Słowa te tak dziwnie z ust rycerza wypadły, że chłopiec twarz podniósł i spojrzał badawczo w oczy nieznajomego pana, który brwi ściągnął i rzucił:

— Co tak patrzysz?

— A no — to wasze: dooo... było takie długie i dziwne...

— Cóżes w niem tak dziwnego dostrzegł?

— Niepewność... wahanie się...

Rycerz pochylił się i spojrzał w twarz młodzieniaszka.

— Za przezornys na wiejskie pastusze... Ktoś ty?..

— Palipieca —

— Tem w większe zdziwienie mnie wprawiasz... A skądś?

— Z Ogrodzieńca —

— Z zamku, czy osady?

— Z zamku —

— I może palisz w piecach komnat wojewodzińskich?

— A no — tak!

Jakiś dźwięk urwanego pytania wybiegł z ust rycerza, ale zamarł w powietrzu, nie ukształtowawszy się w wyrazy; rozwarłe wargi zamknęły się szybko, dech w piersi się zaparł, ogorzała twarz lekko pobladła. Na chwilę dotknął czoła palcami niespokojnymi, jakby chciał ukryć, czy zetrzeć myśli złe; później pełną piersią odetchnął, pokręcił węża; następnie sięgnął w zanadrze, skąd pieniądz srebrny wydostał i dając go pacholęciu, rzekł obojętnie:

— Wskaż mi, mały, drogę do zamku.

Chłopak datku nie tknął, udał, że go nie widzi nawet. Postąpił naprzód i szedł

tuż przy jadącym rycerzu, kiedy nie kiedy tylko rzucając oczyma na piękną głowę konia, który go w tej chwili więcej obchodził niż rycerz nieznajomy. Rumak, jak gdyby przeczuwał, że jest przedmiotem obserwacji a może zachwytu niemego, rozszerzał różyce chrap, rzucał głową poźlocistą, to łeb pochylając ocierał się o ramię chłopca, muskając przy tem wargami sukmankę jego wypłowiałą. Gdyby jednak w tej chwili wzrok chłopca ku rycerzowi się zwrócił, zdziwiłby go wyraz twarzy młodego pana, zmiany, jakie w niej zachodziły, przelewanie się uczuć, niby fale o barwach zmiennych, które, w głębi duszy zrodzone, bladością to płomieniem, trwogą to radością wybijały się na zewnątrz, jak muszle, przez wiry tajemnicze wydobyte z przepaści morskich.

Zmrok zapadał —

Wieczór tchnął chłodem — — —

Nie nie mówiło, że lasy się skończą i wkrótce osiągnięty będzie cel wędrowki.

Rycerz niecierpliwie się począł, co łatwo było poznać po nerwowych ruchach palców, po targaniu wędzidla, aż klekotało w pysku końskim.

Nagle ściana lasu urwała się —

Wzrok wbiegł na równinę, z której środka wysadziły się w powietrze skał grzbiety, potężne rozmiarem a kształtem dziwaczne, wnoszące na swych barkach potężne mury gmachu.

W mroku nurzała się wstęga lasów, w mgłach i mroku tonęła równina, a ogrom zamku, wzniesiony nad szczyty drzew, patrzył w słońce i stał w blasku purpury. Gorzały dachy, paliły się wieże i blanki; żywym, jarzącym ogniem świeciły szyby okien w olów oprawne.

— Ogrodzieniec — odezwało się pachole.

Spokojnym powiedziało to głosem. Zn było obyte z tem zjawiskiem, które znów dziwnie wstrząsnęło całą istotą młodego pana. Ruchem gwałtownym ściągnął wodze, w oczach jasna zamigotała błyskawica, muskuły twarzy zadrgały, w piersi zatrzymał się oddech, a młot serca z taką siłą uderzył, aż rycerz zachwiał się i rękę do piersi przyłożył.

(d. c. n.)



Otto Juljusz Bierbaum.

Rozwój, wychowanie Bierbauma przypada na okres, kiedy Niemcy z Francji wraz z pieniędzmi za Sedan otrzymali kankana i francuską wirtuozję śmiechu. Przeciagał ten śmiech po przez przedmieścia paryskie i jak napomnienie, jak pogroźka, jak blada trwoga przestrzegał przed niewiadomem, może przed... nowym Sedanem. Wołał ten zły śmiech: „Zbudź się, zbudź!” i zdaje się wołał, że Francja wstała znów, by rzucić swoją kulturą w całym świecie, by do jej ziem odbywały pielgrzymkę wszystkie duchy, wszystkie stany i kondycje. Taine, Zola, oddaje berło Bergsohnowi, France'owi, Sorelowi, znów na kartach historii notują obudzenie myśli i piękna, znów z wszystkich ziem duchy nawiązują swoją pracę do myśli, do sztuki francuskiej. Polski modernizm, mimo zastrzeżeń, był przecież owym przełanym kwiatem przez Miriamę z Francji i aż do czasu pojawienia się Przybyszewskiego nie odgrywał u nas żadnej kulturalnej roli. Dopiero Przybyszewski korzenie jego puścił w duszę ludzką i wychodząc z tych ducha obszarów napełnił krwią, serdecznością i łkaniem do „nieskończoności“, do „Absolutu“. Tenże Przybyszewski dokonał rewolucji i w sztuce niemieckiej, oderwał ją od brutalizmu naturalistycznej szkoły, budował nową estetykę „sztuki jednego dla jednego“. Ile w tym racji było, ile zaś zwykłego negacyjnego odruchu, pozostawiam na razie na stronie. Jest faktem jednakże, iż szkole Arno Holza, Schlafa, zadał cios dotkliwy, pod sztandarami Przybyszewskiego skupiły się najwybitniejsze siły „młodych Niemiec“, jak Dehmel, Hofmannstahl, George. Gdyby jakiś niemiecki badacz literatury porównał kanony estetyczne tych pisarzy, to mimo największego uprzedzenia do polskości, musiałby przyznać, że na kształtowanie się tych kategorii tworzywa wywarł on wpływ bezsprzeczny. Hermann Bahr, S. Lubliński, wzmiankują o tym w swoich pracach, lecz do szerszego koła krytyków sądy ich nie przedostają się, gdyż nawet taki krytyk, jak Bab w studjum o Dehmli pomija widoczne narzucające się linie porównań. Co prawda, w książce o bohemicznej berlińskiej poświęca on specjalny rozdział Przybyszewskiemu i Dehmlowi, lecz znów dowiadujemy się o pohulankach, orgjach, a nie tej wewnętrznej poszukiwań istocie, która tych artystów skupiała w jedno ognisko. Kto chce plastycznie uprzytomnić sobie sam miąższ tej walki, którą pokolenie to wtedy prowadziło, musi przypomnieć sobie choćby scenę rozmowy Gordona z Wrońskim z „Dzieci Sztatana“. Chodzi o Nietzscheanizm, o wyniosły kult moralności nadezłowieka, o sztukę, jako świątynię, kapłana, o ekonomiczne, socjalne zagadnienia, które współczesnemu człowiekowi narzucają się z druzgocącą siłą. Moralność pozytywnego utknę-

cia na jakiejś idei, byle idei, zaczepienie się o byle co, byle tylko mieć pewną przykrywkę czy też wymówkę przed pytaniami i odpowiedzialnością człowieka — oto nienawistne truchła, z którymi walczył wtedy Przybyszewski. Męcz się, krzyżuj się duszo, stań się naga, choćby ta nagość zabić, unicestwić miała. Konfrontuje on więc szczerą swoją wewnętrzną z wszystkimi współczesnymi „idealami“, które ludzkość wyznaje — i nie znajduje żadnej odpowiedzi. Ten brak pozytywnej odpowiedzi, to właśnie tragedia. Zawisa rozum, „biedny ludzki rozumek“ w próżni nad szalejącą orgją namiętności, które wiecznie i nieustannie rządzą światem. Coś irracjonalnego prowadzi, pędzi ludzkość; Przybyszewski to irracjonalne, to rządzące a niedostępne poznaniu w zupełności, odnalazł w chuci. I oto brzmią słowa jego poglądu na świat: „A na początku była chuć, nie prócz niej, i wszystko w niej“.



OTTO JULJUSZ BIERBAUM.

Bez wątpienia, że większą, ciekawszą stroną jego poszukiwań jest owa „nagość“, owe dążenie do prawdy, negacja ideałów i idealików. Gdyż właściwie filozofia „chuci“ nie zawsze jest równoważką z temi filozofiami, z którymi Przybyszewski walczył. Że ośmiodzinny dzień pracy — jako program walki społecznej nie wystarcza, że trzeba wołać i budować nowy typ moralny człowieka, to wiemy doskonale. Lecz przecież skonstatowanie faktu, że chuć rządzi światem nie rozwiązuje również tych „maluczkich“ zagadnień. Tak jest — nie rozwiązuje odpowie Przybyszewski i doda — w tym jest tragika ludzkiej egzystencji, „wieczny taniec miłości i śmierci“. W ten sposób odkrył Przybyszewski otchłań u nóg współczesnego człowieka. A jednak nawet ta „otchłań“, choć wielu zaciekać zdołała, to jednakże niezadługo odwrócili się od niej.

D. c. n.

Eustachy Czekalski.



Boże Narodzenie w dziejach ojczystych.

W wieczór wigilijny każdym człowiekiem owładają wspomnienia lat ubiegłych, każdy przenosi się wyobraźnią w świat daleki, w przeżyte czy też wyimaginowane dzieje swojej młodości, swoich pierwszych porywów do słońca i szczęścia. I nie dziw wcale! Przypomnij, czytelniku, stół w domu ojców twoich, zachwyt i rozkosz, którą przeżywałeś, wpatrując się w migotanie jarzących świec na drzewku tradycyjnym. Powstają te wszystkie wspomnienia, niby uśmiechy na twarzach ludzi szczęśliwych, powstają, bo siła tradycji waży w życiu każdego człowieka, każdego narodu. Od przeszłości odżegnać się nie można. Nie należy jednak na niej poprzestawać. Tworzenie, budowanie, zdobywanie, postęp jest zadaniem życia. Każda bowiem forma teraźniejszości wyrasta z przeszłego życia. I dla tego to jest obowiązkiem każdego człowieka znać dokładnie siebie, poznać przeszłość otoczenia, społeczeństwa, którego jest się członkiem. I dlatego to migotają, skrzą się światełka na drzewku wigilijnym, a... wspomnienia urastają w wizje przeszłości dziejowej.

Już dawno, dawno... blisko tysiąc lat. Oparł się Chrobry mocy germańskiej i przywdział dziś koronę królewską. Grzmiały dzwony w farze gnieźnieńskiej. (1096). Huczały samopały i głośne wiwaty zwiastowały złoty wiek dla potęgi lechickiej. Nadworny rybalt pieśń śpiewał załotną i budził entuzjazm, krze-

sił nadzieje, że geśl jego uboga stanie się złotostrunną harfą, na którą Jan z Czarnolasu naniże struny o symfonicznym brzmieniu mowy polskiej.

I dnia dzisiejszego narodził się największy duch szczepu aryjskiego, orzeł pokoleń przeszłych i przyszłych, twórca naszej ewangelii narodowej — „Ksiąg pielgrzymstwa narodu polskiego“ narodził się Mickiewicz (1798.)

Migają, skrzą się światełka...

O, jakże błogo w kółku rodzinnem przypomnieć dziadów i pradziadów losy! Czy pamiętacie jednak rok 1795! Dziś wieczorem w dworach i chatach pradziadów panował opłatek, a jutro zbudziły ich groźne wieści... Był to powtórny zwiastun tragedji...

Rodzi się wizja za wizją. Powstaje w całym majestacie zgrozy. Golgotą staje się ten dzień Narodzin Pańskich, a radosna pieśń o Betlejemskiej nowinie zamiera na ustach.

Pasuje się żyjący duch, roz-

puszcza szeroko swoich skrzydeł loty, chce zarzucić nowe fundamenty, lecz... niech skrzą się światełka, niech przyswiecają myślom, co się w czyny przerodzić muszą... Temu należy przysiądz!

Powstawały już projekty, rady, aż w 1789 roku sejm przyjął zasady reformy rządu w Polsce. Konstytucja trzeciego Maja jest dalszym ciągiem tych prac, tych wysiłków podźwignięcia kultury naszej.

Skrzą się światełka, migocą...

I dzień dzisiejszy odżywa w naszej pamięci, by nie uspaśniać nas tylko do snów. Ramion nam trzeba, jak spiż mocnych i sumień tak oddanych, jak są oddane matczyne kochające serca. Wiele bowiem zadań przed nami. Pół kraju grzęźnie w analfabetyzmie. A przecież możemy z tych ludzi stworzyć świadomych obywateli, obrońców naszej godności.

Pięćset lat myślimy nad uzdrowieniem duszy polskiej. Wołał Skarga, Orzechowski poprawiał Rzeczpospolitą, walczyli o myśl w Polsce arjanie, lecz zwyciężyła fala wsteczństwa. Cofnęło to nas w mroki średniowiecza. Nawiazywać więc należy nieci tradycyjne do tych przejawów ducha polskiego, które niosły ze sobą kulturę, walczyły o niezależność umysłową polaka, budowały fundamenty dla mocy narodowej. Ten bowiem tylko przysparza potęgę



Władysław Jaroński.

(Tow. Z. S. P.)

MOTYW Z TATAROWA.

krajowi, kto tworzy jego kulturę, kto zdobywa dobra i bogactwa dla narodu.

Skrzą się światelka na drzewku tradycyjnym. Niech się przerodzą w wielkie płomienie zapалу, wytrwałości i pracy.

Niech każdy stanie u ojczystego zagonu i uprawia wytrwałą skibę za skibą, a plon napewno będzie obfity!

Niech zniknie zażach, próżność i walka stanowa, bo przecież wszyscy jeden, jedyny mamy przed sobą cel:

Szczęście naszego ogółu!



Teatr Michaliny Łaskiej.

Scena z „Nuny“ Kiedrzyńskiego.

TEATR.

Sezon zimowy rozpoczął się pod dobrą wróżbą. Dramat dał nam „Po nad siły“ Björnsona, co wystarczyłoby już zupełnie, by wyrobić sobie zdanie o poziomie literackim naszego teatru. A przecież i polscy pisarze byli reprezentowani przez pierwszorządne pióra. Wznawienie dramatu Przybyszewskiego: „Gody życia“, to znów „Grube ryby“ Bałuckiego—mówią nam o żywotności, o kulturze, kierownictwa. Do oryginalnych premier, które wywołały w Warszawie sensacje, należą „Cyganerja“ Nowaczyńskiego i „Stra-

ceńcy“ Koneczyńskiego. „Cyganerja“ zainteresowano się więcej dzięki zakulisowej polityce dziennikarskiej, niż dzięki istotnej jej wartości.



TADEUSZ KONECZYŃSKI.

Nowaczyński do spółki z jednym z poczytnych dzienników zainicjował dyskusję o Wielopolskim, co zwróciło uwagę całego czytającego ogółu i przyczyniło się do powodzenia „Cyganerji“. Kulturalnych walorów sztuka ta nie posiada, artystycznie zaś jest tylko pantomimowym widowiskiem. Oślawiony „pozytywizm“ Nowaczyńskiego—jest luźnie wpleciony w akcję i nie zupełnie nowego nie dodaje do opinii ogólnie wiadomych. Do powodzenia sztuki bezpośrednio przyczyniła się mistrzowska gra aktorów. Frenkiel, Brydziński, Pichorówna—dawno już nie dali tak ciekawych kreacji, jak w „Cyganerji“.

Koneczyński też zawdzięcza ak-

torom sukces swoich „Straceniów“. Prasa warszawska premierę tej sztuki przywitała niedowierzaniem, zastrzeżeniami. Kto orjentuje się w opinii teatralnej warszawskiej, ten wie, że byłoby dziwne, gdyby zjawyły się inne recenzje. Prasa warszawska w swoich sądach stale trzyma się podręcznika o literaturze Feldmana, chociaż sama o autorze tej pracy odzywa się z lekceważeniem. Feldman z Koneczyńskiego zrobił fachowego literata—ten określnik przykleił się tak do wyobraźni krytyków, że później, zapominając o Feldmanie, powtórzyli toż Feldmanowskie orzeczenie. Dopiero we Lwowie p. Koneczyński otrzymał zupełną satysfakcję ze stro-



MICHALINA ŁASKA.



STEFAN KIEDRZYŃSKI.

ny krytyki. Cała prasa jednogłośnie podniosła wartość jego dziwnie—współczesnej, neurastenicznej tragedji.

W teatrach prywatnych też zżawo uwijają się około repertuaru. Pan Zalewski wystawił między innymi Schawę z polskich zaś autorów wybrał tylko Muttermilcha. Wybór sztuki był nieszczęśliwy, gdyż autor „Żydów“ nie posiada zupełnie nerwu scenicznego. Jego „Listopad“ nużył, wreszcie nie mówił o co właściwie chodzi autorowi.

Natomiast p. Łaska wybrała na swój debiut po długim... urlopie (małżeńskim) farsę pisarza nadzwyczaj scenicznego. P. Kiedrzyńskiemu można wiele zarzucać, lecz na jedno wszyscy się godzą, a mianowicie, że p. Kiedrzyński jest talentem nawskroś scenicznym. „Nuna“ przytem była próbą w tej dziedzinie, która przez pióra polskie bywa stale omijana. Któż bowiem chciałby napisać farsę? Pan Kiedrzyński nie wyszedł z zadania zwycięsko, lecz musimy podkreślić, że dał dosyć wiele, co każe przypuszczać, iż mógłby zostać dobrym farsopisarzem. Publiczność witała panią Łaskę z entuzjazmem. Oklaski formalnie przeszkadzały jej w grze. A jak grała! Jak za najlepszych czasów, jak wtedy, gdy czarowała publiczność warszawską swoją „Dumą od Maksyma“.



ZELWEROWICZ.



Teatr Zjednoczony.

Scena z „Wesela“ Wyspiańskiego.

Pan Zelwerowicz przeniósł się też do Warszawy. Nie wątpimy, że inteligentny ten kierownik i aktor da repertuar pierwszorzędnym, że teatr jego stanie się naprawdę przybytkiem sztuki. Już pierwsza premjera na gruncie warszawskim wystawiła mu świadectwo wysokiego kultu dla słowa polskiego. Czyż może być bowiem udatniejszy wybór repertuarowy, niż Verbum Nobile i Wesela? Z braku miejsca szczegółowe sprawozdanie odkładamy do następnego numeru. Musimy jednak zaznaczyć, że wystawa, reżyserja, gra aktorów stała na poziomie teatrów europejskich.

Niezdługo również przybędzie nam nowy teatr. Powstaje on z inicjatywy hr. T. Zamojskiego i dr. Sziffmana. Budowa specjalnego gmachu podobno już się ma rozpocząć w najbliższym miesiącu.

E. C

Wrażenia artystyczne.

Wielki salon tegoroczny nie jest manifestacją tryumfującej sztuki... Chaotyczny raczej, niż urozmaicony — bardziej jaskrawy, niż kolorowy — a nade wszystko: dziwnie nużący. Nawzajem poważne przemawiają w sposób ucinkowy, lub też zgoda błady — sztuka młoda

nie wzmogła się na siłach, nie wypełniła duchem, nie sięgnęła ku głębinom myśli, czy marzenia. Nikłe bezwyrazowe studjum, przeprowadzone rzadko kiedy bardziej indywidualnie i odważnie — jest nutą przewodnią tej obfitej, ale w treść niebogatej ekoporycji.

„Salon“ jest — po za nielicznymi wyjątkami — typowym dziś, od pewnego czasu, pokazem łatwego malowania i łatwej, wogóle twórczości...

Mimo, że katalog przenosi cały szereg świeższych, nieznanych prawie imion — nie zmienia to ogólnego jego wyrazu: wystawa tegoroczna nie jest może tak drzemliwą i ekliwą jak „Jubileuszowa“ — ale nie przynosi również nic, poza nutami znanymi, po za falą dźwięków bezsilnych a niepowiązanych — poza hałasem barw i farb: a cóż o pieśni mówić...

Rozpada się ten zlot talentów na trzy działy: pejzażu, portretu i kompozycji szczałkowej. Te trzy dziedziny główne połączone są, urozmaicone, zalane i przesycone studjami „martwych natur“ — legionem obrazów przedstawiających mniej lub więcej stylizowane jabłka, wazon z kwiatami i gałązkami, okrawki stołów i serwet — słowem: niezbadane, a bez przerwy badane tajemnice walorów barwnych i linii...

Kołacze się owdzie pomysł dekoracyjny — kołacze i drobniuchne na obecnej wystawie: grafika i rzeźba, i coś nie coś z architektury...

Przeważa — rzecz naturalna — malarstwo, t. zw. czysto-stalugowe. Pejzaż na wystawie, otwiera można rzec: Chełmoński, jego Rzeka "ma spokojną siłę" — przesycę się bez walki pożądanymi pierwiastkami światła i wilgoci; jest pięknym obrazem. Drugie dzieło „powrót z łąk" — oparte na znanej u Chełmońskiego harmonji, li-liowo-żółto-różowej mniej ma w sobie uroku. Szczerze, jak zawsze, polskim jest Masłowski w swojej „Jesieni" i „Malwie" doskonałych i bardzo wdzięcznych akwarelach.

Fałat maluje jakiś wielki las na zboczu góry i krzyż przydrożny. Mehoffer szereg studjów drobnych i jedno większe p. t. „Majowe słońce" — płótno zalane światłem, w motywie przypadkowe: okrawek życia in c r u d o...

Pankiewicz daje dwa pejzaże z południa Francji. W nowym z tejże Francji przyniesionym — sposobie. Ciekawe, bo eksperymentowe, pejzaże wystawia Popowski: ten sam zakątek ziemi obserwowany dwukrotnie: w ciszy przed zachodem — i po burzy. Bardzo spokojny i harmonijny krajobraz, wyjątkowo rozległy i pełen światła, to Piekarskiego „Ruiny zamku". Podobnie rozległym jest Ziomka „Przed wieczorem" — obraz w górnej części bardzo ciekawy: jest to spojrzenie z wyniosłości na wijącą się złotą rzekę — wioska rozsypa na pierwszych planach nie dorównywa owym dalom i niepewna jest równie w kolorze, jak formie linijnej. Niemal to samo można zauważyć w krajobrazie Kowalewskiego: „Wieś nad Wisłą" — gdzie oddał wody i piachów przewyższa o wiele samą wioskę zgrupowaną pod ramą obrazu.

Oddał ta bowiem posiada swój wyraz, swoją mowę — swobodną i płynącą z pod pędzla lekko. Mniej polskim, ale bardzo silnym w barwie jest Uziębło, autor jędrnego tryptyku „Jesień w ogrodzie Luxemburskim" oraz dużego obrazu „W cieniu

lipy". Na sprawnej technice oparte pejzaże nadesłał Wywiórski doskonale te obrazy, — i brawurowy, świeży krajobraz „Z nad Prutu" — Wyczółkowski. Dalej przesuwają się przed oczyma skromne ciche pejzaże Neumana: „Wieczór" Biskego: Rozena (Pawła) „Brama" oryginalny motyw starego wina i pnąców, wykonany po benedyktyńsku. Wielkie, pełne zieleni pejzaże dają: Kamocki i Starykon-Wielogłowski: Gałek wędruje wśród Tatr, malując szare turnie śniegami pokryte, skromnie i prawdziwie — również skromnie, z prostotą — a bardzo wdzięcznie otwarcza góry Czarnocki — długą górlandę pejzażów zamyka „Wieczór na Polesiu" Arczyńskiego, melancholijny i nieco maw Sarzeniowy.

Równie okazałe wystąpił lonie tegorocznym i portret. Już zdala uderza oko ogromny obraz Axentowicza „Rodzina" cały utrzymany w gobelinowych, nikłych, ale pełnych wyrazu malarskiego, tonach. Ugrupowanie postaci lekkie i prawdziwe — głowy i sylwety malowane z wielką finezją. Drugi zbiorowy portret p. t. „Śniadanie" Pieńkowskiego (Ignacego) posiada również harmonję ogólną i piękny ton, ale nie ma tej swobody i szczeroty, co obraz Axentowicza. Tamten wypłynął bezwiednie z charakteru i duszy artysty — ten został pracowicie oddany według pewnej z góry umiłowanej doktryny.

Ciążenie ku pewnym sposobom samej techniki widać i w portretach p. Blanksteinówny — ale stylizacja ta zdaje się bardziej zgadzać z temperamentem wrodzonym artystki, niż siłą wyprowadzana prostota u malarza bajecznie utalentowanego na wprost przeciwnym kierunku. Głowy p. Blanksteinówny są bardzo sumienne i mile rysowane — przenoszone w styl łatwo i z dużym przekonaniem. Wdzięczny portret ma też p. Koźniewska — dobre portrety dam dali również: Badowski i Sawiczewski. Pierwszy jest poważną pracą nad harmonją głębokiej czerni z tonami jasnymi ciała i gorąco-żółtej a raczej złotej — draperji pracą rozwinętą i prze-

prowadzoną bardzo rozważnie i szczęśliwie: drugi jest realistycznym studjum prawdziwym i miłym jako obraz.

Ciekawą szarą próbą jest „portret Matki" — Karszniewicz, gdzie bardzo dowcipnie przeprowadzone jest tło z oknem dobrze i prawdziwie malowanym.

Powagi już oddawna uznane reprezentują (po za Axentowiczem) Horowitz, Lentz, Malczewski, Augustynowicz, Kossak. Horowitz maluje z wielką prostotą i prawdą „syna własnego", również malarza. Lentz w „portrecie damy" zdobywa ton przyćmiony, złotawo-mroczny dając jednocześnie dosadny wyraz swemu dziełu. Malczewski w obu ukostjumowanych „autoportretach" zdaje się silnie i bezlitośnie drwić z tłumów — zaś Augustynowicz niewiedomo dlaczego przebiera się za Chińczyka: dając piękną głowę, piękną suknię wschodnią połączone na wieki w wiecznej niezgodzie — dysonansie zupelnie nieusprawiedliwionym...

Kossak przysyła portrety dam współczesnych malowane łatwo i sprawnie jak... batalie.

Kompozycji jest w „Salonie" — jak zazwyczaj — nie wiele. Z tych, które jednak są — większość mogła być spodziewana. I tak nie zaskoczyły nikogo „Madonny" Hoffmana, malowane dziwnie szaro i jaskrawo — niemal przypadkowo, nie zaskoczył i mało zrozumiały fragment Jakimowicza i „Napoleon w Egipcie" Kossaka — szkicowy i niezgrabiony z dzieł Malczewskiego nowością motywu wyróżnia się szkic „Święty Jan". Okunia „Koncert" zawiera w sobie poezję i wielki wdzięk skończenia — Weissa „Kobieta" jest więcej niesmacznym chorobliwym studjum niż kompozycją. Słupskiego „Madonna" i Bakałowicza „Przy fontannie" w zamierzeniu uderzają nutę — szczęśliwie. Kuglera „Step" uderza ogniem.

Śród niewielu rzeźb Koniecznego „Spojrzenie" i Kratki „Śmiech" symbolizują ideał i życie...

Jest na wystawie ostatniej sporo dzieł takich, z których każde z osobna wiele ma zalet

i wiele sobie właściwego dźwięku — ale nie ma nic takiego, coby przebiło chaos i nużącą jaskrawą migotliwość zbiorowego występu, coby zapanowało i uciszyło choćby na chwilę gwar, ćwierkot i wrzawę.

Antoni Gawiński.

Przegląd polityczny.

Ostatnie posiedzenia dumy państwowej trzymają uwagę naszego społeczeństwa w ciągłym napięciu. Na porządku dziennym znajdują się dwie sprawy, już z góry przesądzone, a jednak podniecające ospałą opinię naszą. Tylko fakt tego podniecenia podtrzymuje teraz w nas wiarę w lepszą przyszłość. Wiadomo już bowiem, że wyodrębnienie Chełmszczyzny jest dziełem dokonanym; wiadomo, że samorząd dla Królestwa zatwierdzony zostanie tylko z poprawkami p. Aleksiejewa. I chociaż godne zachowanie się p. Harusewicza i Dymśy powiedziało w Dumie o naszych prawach do życia, to jednak niech te pełne taktu i prawdy słowa nie pozostaną tylko słowami.

Trzeba przecież tymbardziej w granicach możliwości wypełniać sumiennie obowiązki względem narodu. Budować, wyzwalać naszego ducha przez kulturę, szerzyć wszelkie urządzenia ekonomiczne, zakładać kooperatywy, udostępniać kredyt, podnosić przemysł, jednym słowem czuwać, by nasza samodzielność chociaż w tym kierunku mogła konkurować z wolnym, uprzywilejowanym życiem innych.

Najgłośniejsze w sprawie Chełmskiej wypowiedzieli się działacze galicyjscy. Protestowali wszyscy. Protestowano bez różnicy przekonań. Dawno nie spo-



W. Żukowski.

Dr. J. Harusewicz.

H. Dymśa.

tykano się z solidarnością tak zwartą. Koło Polskie w Wiedniu zajęło co prawda, inne stanowisko, lecz... i tam znaleźli się ludzie sercem zrośnięci z nami. Poseł Śliwiński i poseł brownowicki, Tetmajer — domagali się wniesienia interpelacji, którą uskuteczni.

Poza sprawą chełmską jest jeszcze inna ważna kwestja, związana z naszą krajową gospodarką. Chodzi o kolej wiedeńską. I ta sprawa jest przesądzoną; jesteśmy bezradni, lecz niech nie skończy się na zbożnem rozpamiętywaniu. Praca — oto nasze zadanie.

W Poznańskim rozpoczęła się już na dobre agitacja przedwyborcza. Odzywają się też kolonje polskie rozwiane po miastach i prowincji państwa niemieckiego. Do jakiego jednak stopnia dochodzi tam fanatyzm „patriotyczny“ i „socjalistyczny“, niech posłuży za przykład telegram z Berlina z dnia 17 grudnia. Miał argumentów pracowały ręce — a skończyło się bójką ogólną. Zdaje się, że takie zachowanie nie przynosi zaszczytu naszemu społeczeństwu.

Oburzamy się na różnych Niesiełowiczów, na telegramy litwaństwa warszawskiego solidaryzujące się z filozofją pa-

nów Żabotyńskich, lecz nie zominajmy i o naszych wewnętrznych bolączkach.

Jedną z ważniejszych kwestji jest również projekt wydziału prawnego włoskiego przy uniwersytecie w Krakowie. Gdyby udało się projekt ten wypełnić, byłibyśmy z tego bardzo zadowoleni. Kraków podniósłby się materialnie i moralnie. A przecież w ostatnich czasach powagę uniwersytetu Krakowskiego bardzo nadszarpnięto. Zależy więc nam na tem, by znów stał się, czem był za sławnych jagiełłońskich czasów.



Helena hr. Morsztynówna.

Recital

Heleny Morsztynówny.

Prawdziwą ucztę artystyczną zgótowała nam p. Helena Morsztynówna w poniedziałek w sali teatru Wielkiego, zapelnionej doborowem towarzystwem licznych miłośników prawdziwego talentu młodej wirtuozki.

Przedewszystkiem zaznaczyć należy czystość gry, która przy wyjątkowo rozwiniętej technice, szczególnie podczas wykonania



EULOGJUSZ.

Inicjator wyodrębnienia Chełmszczyzny.



BULAT,

pragnie wprowadzić język litewski w miejsc. samorządzie.

sonat Scarlattiego pieściła słuch kaskadą perlistych tonów.

Najpiękniej wszakże wykonane były etiudy symfoniczne Schumanna w których uwydatniły się cudne pianissima i nad wyraz subtelne frazowanie.

Wzamian za chwile podniosłych wrażeń artystycznych, posypały się na sympatyczną pianistkę, nie tylko gorące oklaski lecz i rześisty deszcz kwiatów.

Król skrzypków.

Dyrektor filharmonji p. Birnbaum, usiłuje podnieść kulturę muzyczną w Warszawie. Obok niezwykle poważnych—daje poranki złożone z utworów lekkiej muzyki. Pozatem zaprasza szereg tak wybitnych wirtuozów, jak Ysaye, Rubinstein i t. d. Ysaye koncertuje u nas nie poraz pierwszy. Opinia o nim ustalona. Wie Londyn, Chicago, Paryż, Wiedeń, że Ysaye jest nieporównany, że jest niemal jedyny w swoim

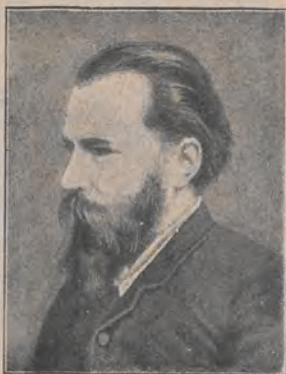


YSAYE.

kunszcie. Powszechnie nazywają go królem skrzypków. Warszawa tłumnie podążała na trzy jego koncerty i należy dodać, że słusznie, gdyż Ysaye grał, jak tylko... król grać może. Syn Ysaye'a (Gabriel) też przedstawił się, jako muzyk poważny.

Odznaczenie polskiego uczonego.

Akademja Francuzka przyznała dr. Julianowi Ochrowiczowi nagrodę 1,000 fr. z fundacji Fanny Enden, za artykuł p. t. „Hypnotyzm i Mesmeryzm“.



Dr. JULIAN OCHOROWICZ.

drukowany w Dictionnaire de Physiologie. Ciekawe, że praca ta jest naukową rehabilitacją Mesmera, odkrywcy „magnetyzmu zwierzęcego“. Prof. Ochrowicz działalność swoją naukową rozpoczął, jako zdecydowany pozytywista i przez długi czas był filarem polskiego ruchu kulturalnego. Początki pracy tego uczonego przypadają na 70,80 lata. Jedną z najciekawszych książek Ochrowicza, jest odznaczona na konkursie przeglądu filozoficznego obszerna, gruntowna rozprawa o Etyce.

Teresa Lubińska. *Nie wiedziała.* Powieść, str. 354. Warszawa, 1912. Nakład i własność L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza.

W powieściowej literaturze doby bieżącej, książka Lubińskiej wyróżnia się powagą stanowiska, jakie autorka zajmuje względem życia. Praca ta wyrosła z troski serdecznej o przyszłość naszego społeczeństwa. Chodzi w niej przede wszystkim o zwrócenie uwagi na wychowanie, jakie odbieramy wszyscy. Dzięki pruderji, dzięki przytomności zwyczajowej nie porusza się wielu kwestji, o których wszyscy wiedzieć powinni, póź-

niej takie przemilczanie mści się okropnie w przyszłości.

Bohaterka Lubińskiej, Krysia, dzięki właśnie brakowi uświadomienia, no i dzięki rytuałowi zwyczajów społecznych zmarnowała swoje życie. A przecież wyciągała do słońca swoje niewinne, kochające ramiona! A przecież oddała wszystko, cokolwiek kobieta oddać może. Kochała męża, była kochaną, aż oto pewien fakt drugoocze całe jej [szczęście. Okazuje się, że mąż jej był chory. Nieuleczalna choroba niszczy jego organizm. T. Lubińska całą tę chorobę wraz z konsekwencjami składa na karb... nieuświadomienia. Być może, winne tu jest do pewnego stopnia wadliwe wychowanie. Nie można jednakże czynić odpowiedzialnem za wszystko wychowania, gdyż chorobom podlegają wszyscy ludzie. Wogóle z chorób ludzkość pewno się nie wyzwoli. Tamę zaś położyć może tylko jakiś środek leczniczy. Tym nie mniej jednak potrzebną jest agitacja za uświadomieniem zła.

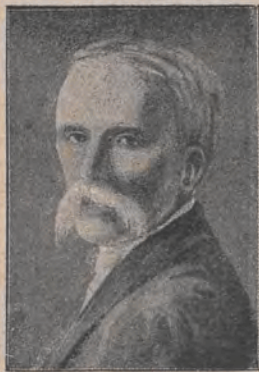


TERESA LUBIŃSKA.

Zajmująca książka utalentowanej autorki spełnia to zadanie. Realizm wielu scen razi, lecz, niestety, sceny te są życiowo prawdziwe, a więc mogą wpłynąć agitacyjnie. Lubińskiej zaś bardzo na tem zależało, by książka jej stała się orędem społecznego posłannictwa.

Ś. p. Jan Kowalczyk.

Był jednym z tych, co nie dla sławy i rozgłosu pracują. Dziedzina jego badań wydaje się zwyktemu śmiertelnikowi tak oddaloną od życia, że nigdy nie zwraca uwagi na takie trudy szlachetne. Któż bowiem od czuje poezje wyliczeń astronomicznych, kto zrozumie ile miłości i poświęcenia zamkniętego w martwe kolumny liczb? Ś. p. Jan Kowalczyk urodził się 16-go paździer. 1893 roku, w Rzeszotarach (Galicja Zachod.). Studja uniwersyteckie odbył w Krakowie, gdzie też otrzymał stopień doktora filozofji. Przez pewien czas był asystentem przy katedrze botaniki, a potem docentem prywatnym mechaniki analitycznej w Uniwersytecie Ja-



Ś. p. JAN KOWALCZYK.

giellońskim. Od roku 1865 pracował w Warszawie, był adiunktem w Obserwatorium Warszawskiem. Ogłosił drukiem pokaźną ilość poważnych prac z zakresu swojej specjalności. Zmarł 8-go grudnia 1911 roku.

Cześć jego nieskazitelnej pamięci!

Nędza Warszawska.

Może nigdy nie znać nędzy więcej w miastach, niż w czasach przedświadczone. Wypełza wszystko z nór swoich i kryjówek i ubiega się o zarobek. Przygodny śpiewak zjawia się na podwórzach, nie bacząc na srogie przepisy policyjne. Drze się przekupień, zachwalając... chleb razowy, lub świecidełka świąteczne.

Rażącą sprzeczność stosunków społecznych najlepiej zo-



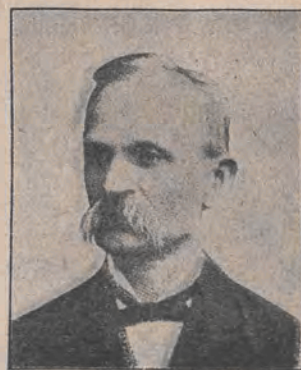
Sprzedaż chleba razowego dla najbiedniejszych.

baczyć można właśnie w tych przedświadczone czasy, bo przecież każdy ma jednakie prawo do szczęścia, a nie wszystkim sądzono, by skosztować go choć krzyne. Dużo refleksji nasunąć może, ta zalegająca targi i podwórza... nędza. Oby tylko chciało się nad nią zastanowić, spojrzeć w oczy tej przedświadczonej malignie. Może nie jeden człowiek nie będzie miał co jeść — gdy z stołów poleje się szampan. Niech więc pamiętają o tem ci, których stać na... zbytki.

Sprawa Rapperswilska.

Gdy zjazd kontrolował zarzuty, czynione przez Żeromskiego p. Rozenwerthowi — ukonstytuowało się Stowarzyszenie przyjaciół Rapperswilu, na czele którego stoi Teodor Tomasz Jez. Zadania tego nowego towarzystwa są nad wyraz uciążliwe i przykre. Chodzi o wykorzeńczenie starej gospodarki, o za-

prowadzenie ładu w zbiorach, o stworzenie z Rapperswilu stacji naukowej polskiej. Myśl zawiązania stowarzyszenia wyszła z inicjatywy Stefana Żeromskiego.



T. T. JEŻ.

Ciekawą jest broszura, którą wydał Żeromski w celu udowodnienia swoich zarzutów, skierowanych pod adresem p. Różyciego de Rozenwerth. Jak wiadomo, komisja kontrolująca z te-



I na czarny chleb nieraz piosnkami się zarabia...

mi zarzutami obeszła się po macoszemu. A pozatem, zorganizowani przez komisję korespondenci przemycili do prasy szereg bałamutnych wiadomości, które jakgdyby oczyszczały z zarzutów działalność pana kustosa. Dopiero z broszury Żeromskiego dowiadujemy się, jak istotnie wyglądała kontrola zjazdu. Wszystkie zarzuty Żeromskiego mają swoją głęboką podstawę w faktach oczywistych, druzgocących.

I nie są to tylko osobiste mniemanie Żeromskiego. Tacy znawcy, jak Kopera, Gembarzewski popierają swoją powagą wszystko, co p. Żeromski podnosi, jako ujemne w gospodarce muzealnej. Ostatnio wydali też broszury p. Wasilewski i p. Szpotański; rzucają one wiele ciekawego światła na działalność p. Rozenwertha. Dziwne są wobec tego wiadomości korespondentów, uchwały Zjazdu. Przekonały nas w zupełności wywody Kopery, Wasilewskiego i Żeromskiego, musimy przeto wyznać, że zjazdowi mało chodziło o dobro publiczne, że kierował się widocznie jakimś ubocznymi względami.

Należy więc zawiązać się Towarzystwa Przyjaciół Rapperswilu powitać z uznaniem i szacunkiem. Mamy nadzieję, że dzięki energii tych ludzi Rapperswille stanie się naprawdę pożyteczną placówką, która chlubnie świadczyć będzie o niepożytości sił żywotnych narodu.



STEFAN ŻEROMSKI.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA.

Powodzenie żeglugi powietrznej poszepnęło do ucha szatanowi wojny, by wykorzystał i to genialne odkrycie dla celów swo-

aumont wrócił z tych manewrów udekorowany legją honorową. Włosi w swojej zaczepnej wojnie zachęcani powodzeniami Francu-



Kapitan Rossi pokazuje współtowarzyszowi bombę, przeznaczoną do rzucenia z aeroplanu.

ich. Już podczas letnich manewrów armja francuska, posługując się wywiadami lotników, otrzymała rezultaty nadzwyczaj... ponętne. Co prawda, Nieuport zapłacił życiem za... powodzenie, lecz inni, jak Vedrines, Be-

zów, zastosowali aeroplany do walki z Turcją. I oto widzimy, na naszej rycinie, jak kapitan Rossi pokazuje jednemu ze współtowarzyszów bombę, przeznaczoną do rzucenia z aeroplanu, w którym szybować będą nad Trypolitanją.

Sułtańskie skarby...

Cały Paryż tłoczył się na licytacji skarbów sułtańskich. Więcej niż dziesięć tysięcy kart rozdał komisjoner sułtański p. Lair-Dubreuil, by prywatnie można było obejrzeć te krezusowe naszyjniki, kolje i pierścienie. Naszyjniki bajeczne, różne historyczne pamiątki — wszystko rozprzedał władca z nad Bosforu, by tylko móżdż obronić przed Włochami Trypolis. Biedne żony sułtańskie! obdarto im cudne gardziolka i pieszczone ręce ze skarbów ponętnych. Zmuszono i te zamknięte niewolnice, by... broniły Turcję przed zaborczością Włochów.



Naszyjnik milionowej wartości, sprzedany na licytacji skarbów sułtańskich w Paryżu.

REWOLUCJA W CHINACH.

Każda rewolucja kosztuje drogę naród. I w Chinach nie obchodzi się bez ofiar. Oprócz rewolucjonistów snują się też róż-

Scena podana w tekście wyobraża poćwiartowanego chińczyka, któremu głowę włożono między kolana. Barbarzyństwo



Poćwiartowane zwłoki chińczyka

ne najciemniejsze kreatury żądne rozboju i grabieży, a więc niekiedy trudno jest nawet odróżnić ideowca-rewolucjonistę od zwykłego opryszka. Chińczycy postępują względem takich ptaszków z całą bezwzględnością.

idzie tu w parze z wymiarem sprawiedliwości. Bezradność wobec takich sytuacji jest tragiczną, a zapobiedz temu niepodobna. Jeszcze nieprędko zapewne ludzie nauczą się kochać, nawet nieprzyjaciół swoich.

Koronacja króla Sjamskiego.

Sjam wchodzi na drogę europejskiej kultury. Ostatnio koronowany król Schowfa Maha Bajirarudh przyrzekł narodowi swojemu reformę rządu. Młodociany władca urodził się w ro-



Nowy król sjamski Schowfa Maha Bajirarudh.

ku 1880 (1 stycznia), a wychowanie pobierał w Anglii. Sjam liczy 3½ miliona mieszkańców, większa ich część wyznaje budyzm. Podobno już w roku przyszłym sjamczycy posiadą pierwszą kolej żelazną i... może konstytucję. Szczęśliwy naród!

Wydawnictwa gwiazdkowe.

Henryk Sienkiewicz. W pustyni i w puszczy. Str. 395. wyd. Gebethnera i Wolffa.

Marja Gerson-Dąbrowska. Wielcy artyści (ich życie i dzieła). Str. 238. wyd. Gebethnera i Wolffa.

Wiktor Gomułicki. Rok 1812 (powieść dla młodzieży). Str. 319. Warszawa, 1912. wyd. Gebethnera i Wolffa.

Marja Wergho. W ich świecie (opowiadania z życia zwierząt dla młodszych dzieci). Str. 171. Warszawa, 1911. wyd. Gebethnera i Wolffa.

Zuzanna Morawska. Adjutant następcy Tronu (powieść z czasów wojny francusko-pruskiej). Str. 202. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Teresa Jadwiga. Stracony. Powieść obyczajowa. Str. 199. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

M. Massoczowa. Za orłami Napoleona (opowiadania dla młodzieży). Str. 128. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Or-Ot. Bajki Ezopa. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Juliusz Verne. Wyspa Tajemnicza (Przekład J. Belejowskiej (2 t.). Str. 291 i tom II str. 269. Uwieńczone przez akademję francuską. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

H. Beecher-Stowe. Chata Wujka Toma (powieść dla młodzieży) str. 276. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

H. Andersen. Bajki (opracow. przez C. Niewiadomską) str. 421. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Magne-Reid. Pobyt w pustyni (przełożył St. M. Rzętkowski) str. 300. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

J. Swift. Podróże Guliwera. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Edmund Bogdanowicz (Bożydar). M. Włast. Opowiadania z puszczy amerykańskiej, str. 218. Warszawa, nakład L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza. Skład główny Gebethner i Wolff.

Przeciw PEKANIU, ODMROŻENIU, i CZERWONOŚCI RĄK bezsprzecznie najlepszym środkiem jest KREM

„Floréine“

A. Girard, PARIS.

Blaski i cienie Warszawy.

Warszawa jest wielkim miastem.

Już dzisiaj nikt w to nie wątpi, a warszawiak z dumą nosi miano mieszkańca miljonowego grodu. Nawet cudzoziemiec, przybyły do nas, wierzy snadnie, że znalazł się w wielkim mieście. Mamy bowiem tysiąc i jeden kinematograf, kabet — jednym słowem, jak w opowieści Szecherezady. Szczęśliwie, radośnie — wyglądałoby to życie. Lecz i tu na słońcu znaleźć można plamy.

...Naprzekąd drożyna obecna. To już też całkiem po europejsku, tak dobrze obmyślane, że nawet takie państwo, jak Anglja pod względem drożyny stoi od nas znacznie... wstecz. Według obliczeń ekonomistów, w ciągu ostatnich lat dziesiątk, wyprzedziliśmy już Anglję o jakie 50 proc. w drożynie artykułów spożywczych.

Co zaś się tyczy komornego... to, zdaje się jesteśmy na drodze do zdobycia palmy pierwszeństwa. A tymczasem — mimo wszystko nie tracimy na humorze.

Cukiernie, kinematografy i szantany — pełne. Nie słyszymy natomiast nic o podwyżkach pensji w biurach, instytucjach.

Więc skąd na to wszystko się bierze? Życie nad stan, czyli... pobielała bieda...

A i tej prawdziwej nie brak. Przejdźmy się tylko po bocznicach ulic warszawskich. Pójdźmy na Powiśle, albo na „krwawą“ Wolę. W szarej mgłę jesiennej, w brudnym błocie ulicznym — uwija się mrowie wybladłe, nędzne. Anemiczne dzieciaki, patyną głodu powleczone twarze starszych.

Tam na ulicach „pryncypalnych“ wre życie, barwne życie, —

DEMONSTRACJA NACJONALISTÓW.

M. B.
iż.
L. W.
w
Łodzi



Rodzianko, Dymśa, Puryszkiewicz, Krupenski, Wołkonski, Zamysłowski, Markow II.
hr. Bobrynski.

Hr. Bobrynski. Wal, Krupenski, gdzie możesz, aby głośniej, niech Chełmszczyzna posłysz, że my nacjonałiści żyjemy!

bogate wystawy, zgiełk dorożek, warczenie samochodów, cała ta oszukańcza symfonia pieśni wielkomiejskiej — a tu brud, a tu iza...

Mieszkają po kątach zle instynkty, czyhają na ludzką łatwowierność.

A nad tem wszystkim unosi się, szczerząc paszczę, jak smok zachłanny — *bieda*.

Pamiętajmy o niej przy Nowym Roku. Bo otrzeć iza jedną, to więcej niż wybudować pałac złoty...

Nad murami wielkiego miasta mrok się kładzie. Ubiera je w fantastyczne, mistyczne cienie.

Pełne kawiarnie rozbawionego tłumu, muzyka gra...

Nad murami wielkiego miasta mrok się kładzie... M. G.

Zakład Fotochemigraficzny Romana Sawickiego

w Warszawie,

Wspólna 45, tel. 65-76.

Wykonywa klisze do druku na cynku, miedzi i mosiądzu. Trójbarwne, siatkowe i kreskowe do pism ilustrowanych, katalogów, książek i ogłoszeń.

Zdjęcia Fotograficzne

do celów przemysłowych, technicznych i artystycznych, oraz projekty, szkice i rysunki do tychże celów.

Z Rady Państwa.

W Radzie Państwa szumi, niby w pszczelim roju: ktoś wniósł, by

prowadzić móżdż w Sądzie Pokoju sprawy także czasem w „miejscowym” języku, na to z ław prawnicy wszczęto wiele krzyku, każdy ostro gadał w argumenty zbrojny, słowem z spraw pokoju doszło aż do wojny, a złośliwi twierdzą, że po owym boju dojdzie spraw nie-mało do... *sądu pokoju*.

WENTA, WENTA!

*Wenta, wenta—straszak
Na biedę i nędzę!
W złoty róg zadąłem
I z monetą pędzę.*

*A tam w onym raju,
Na kiermaszu oto,
Dobroczyńne dusze
Doją z czeka złoto.*

*Stoisz niby krowa,
Tacka — wzamian szkopka,
Baby doją chłopca —
To dopiero szkopka!*

*— Dobroczyńne dusze,
Dobroczyńne wenty,
Gwałtu, jużem goły
Jak turecki święty!*

*Wołam nadaremnie,
Flirt zagłusza słowa,
Głucha jest brunetka,
Blondynka i płowa.*

*Złoty róg chwycilem,
Na wsze strony świata
Dmę, aż cały kiermasz
Wkrąg się do mnie złata.*

*— Róbcie na mnie wentę!
Rwq mnie biedy kleszcze!..
A chór srebrnych głosów —
„Złoty Róg masz jeszcze!”*

*I sto białych ramion
Za róg złoty chwytam..
Wzięli mi na biednych
Złoty róg — i kwita.*

*A sto cudnych ustek
Woła zgodnym chórem:
„Miałeś, oj, róg złoty —
Ostałeś ze sznurem...”*

*A niechże ostane
Lecz niech mają oni —
Niechże Złoty Róg im
Dzwoni wciąż i dzwoni.*

Zet.

fforyzm kiermaszowy.

Ileż pięknych panien, zamiast sprzedawać zabawki, wołałoby na kiermaszu kupić sobie do zabawy... męża.

Wojujące kobiety.

— Cobyś zrobiła, Zosiu, żeby ci narzeczonego wzięli na tę wojnę włosko-trypolińska do Afryki.

— A no cóż... musiałabym tu na miejscu w Europie podbić jakie inne serce.

W dobie wyodrębnienia.

— Ja sze bardzo dzywuje
panie Rubelfresser, co dotych-
czas nie podali projekt o wyo-
drębnieniu nasze Nalewki.

— Poco zaraz wyodrębnie-
nie?

— Przecze tam już jest tro-
chę ruskich zidków.

3-ci most — a 3-cia Duma.

Po trzecim moście nikt je-
szcze nie jeździ, a po trzeciej
Dumie—każdy z przyjemnością.

PREŚĆ. Eliza Orzeszkowa, **Trzy Uderzenia Dzwonu.** — Wacław Gąsiorowski, **Wojna narodów.** — Edward Słoński, **Nie-
żety Kłos.** — Wacław Wolski, **Tam, gdzie na biednej, zdeptanej mogile...** — Walenty Zieliński, **Półw.**
Wiktor Gomulicki, **„Walc nocnych mgieł”.** — Kazimierz Gliński, **„Stare Lwy”.** — Eustachy Czekalski, **Otto Jul-
jusz Bierbaum.** — **Boże Narodzenie w dziejach ojczystych.** — Teatr. — A. Gawiński. **Wrażenia artystyczne.** —
Przegląd polityczny. — Recital Heleny Morsztynówny. — **Król skrzypków.** — **Odznaczenie polskiego uczonego.** —
Teresa Lubińska. — **S. p. Jan Kowalczyk.** — **Nędza Warszawska.** — **Sprawa Rapperswilska.** — **Wojna Włosko-
Turecka.** — **Sułtańskie skarby.** — **Rewolucja w Chinach.** — **Koronacja króla Sjamskiego.** — **Wydawnictwa gwiazdko-
we.** — **Blaski i cienie.** — **Z Rady Państwa.** — **Wenta, wenta!** — **Humor.**

Kłisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO. Wspólna 45.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa” **Redaktor Walenty Zieliński.** Sekretarz Eustachy Czekalski.

Wacław SUŁKOWSKI

CHEMISERIE SPÉCIALE

5 Bielańska 5, wprost Daniłowiczowskiej.

— TELEFON 47-46. —

Magazyn na parterze i na pierwszym piętrze.

Najpewniejsze źródło zakupu fundamentalnie dosko-
nalej bielizny męskiej, trykotaży, skarpetek, chu-
stek do nosa, kamizelek pikowych i t. p. artykułów
specjalności bieliźniarskiej.

SPECJALNOŚĆ FIRMY:

Bielizna obstalunkowa — modelowa (na miarę).

Ceny w granicach możliwości uprzątnione i najściślej stałe.

Firma egzystuje od 1870 r.

nstytut Leczniczo-Gimnastyczny

SALA SZERMIERKI

Bolesława Olszewskiego

AL. JEROZOLIMSKA 31. — TELEFON 60-68.

LEKCJE GIMNASTYKI SZWEDZKIEJ
DLA PANÓW, PAŃ I DZIECI PŁCI
OBOJGA. ĆWICZENIA ODBYWAJĄ
SIĘ POD KIERUNKIEM WŁAŚCIELA

ZAKŁADU.

Szymon Tokarzewski.

Wstrząsające pamiętniki i opowieści z więzień, katorgi
Sybiru, z którym i wiążą się tragiczne losy tylu rodzin
polskich.

SIEDEM LAT KATORGI, z 3 portretami Rb. 1.00

CIERNISTYM SZLAKIEM, z wielu ilustr. „ 1.20

BEZ PASZPORTU, z wielu portretami. „ 0.60

NA TUŁACTWIE, z wielu kolorowymi ilustracjami;

niezmiernie zaciekawiająca akcja toczy się: w Kró-
lestwie, w Krakowie, na Pantelaryi, we Francyi,

w Algieryi „ 1.50

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

Nowości!

SZYMON TOKARZEWSKI.

Z Roku 1863 i lat następnych.

Opowieść w dwóch częściach:

1) **W kraju.** 2) **Na Sybirze** 1.00

W UCIECZCE. Opowiadanie wygnania 75

Do nabycia u M. Szczepkowskiego, Nowogrodzką 21

i we wszystkich księgarniach.

Nowości!

Nowości!



Laboratorium D-ra Serkowskiego,

ANALIZY chemiczne i bakterjologiczne.

w Warszawie, ulica Ś-to Krzyska Nr. 16.



**OŁÓWEK
PENKALA**

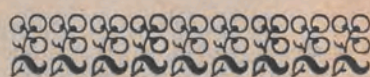
jedyny
praktyczny.

Żądać wszędzie

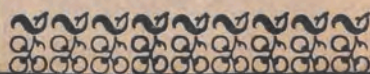
Sprzedaż
hurtowa:

NACHTLICHT & KAMIEŃSKI

Tłomackie № 1. ☛ ☛ Telefon № 17-71.



INSTRUMENTY MUZYCZNE
GRAMOFONY
POLECA
WARSZAWSKI GŁÓWNY SKŁAD
INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH
NOWY 72 ŚWIAT
TEL. 171-85
FIRMA EGZ. od r. 1888
NAJSOLIDNIEJSZE
ŹRÓDŁO.



Nowo otworzony Magazyn Konfekcji Damskiej

DOMU HANDLOWEGO
Bracia Friedländer

Warszawa

Marszałkowska 141 Tel. 53-81

ODDZIAŁY:

Moskwa S-Petersburg Kijów

MAGAZYN OPTYCZNY

G. Gerlach,

poleca: **WARSZAWA, Czysta Nr. 4,**
LORNETKI, CYRKLE, LATARNIE MAGICZNE, MIKRO-
SKOPY oraz różne przyrządy dla naukowej rozryw-
ki. — BAROMETRY — LAMPKI ELEKTR. KIESZONKOWE

NA SWIĘTA! DOSKONAŁE

10 szt.

6 kop.



100 szt.

60 kop.

papierosy Tow. LAFERME

W. MUŚNICKI i S-ka

Marszałkowska 80, Senatorska 22

Odpowiedzi Redakcji.

P. M. Czaplinska, Kijów. Co do au-
tora, o którego Sz. Pani pyta, za-
znaczyć musimy, że nie uwzględ-
niliśmy jego nazwiska, gdyż nie

odpowiedział nam na zaproszenie
w swoim czasie, a więc został po-
minięty. Prospekty wysłane.

P. Henryk Szeifstein, Marszałk. 58.
Próbny № wysyłamy.

P. Lud. Będowski. Prosimy o dal-

sze próbki. Trzeba pracować. Czy-
tać klasyków poezji naszej.

P. J. Tok. Za życzenia serdecz-
nie dziękujemy. Wyślemy bez za-
liczenia, prosimy pamiętać o na-
destaniu prenumeraty.

Najpoczytniejszy i najżywiej prowadzony, jedyny w kraju ilustrowany
miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy

„SFINKS“

w piątym roku istnienia swego pozostaje w dalszym ciągu pod redakcją poety i krytyka, pro-
fesor literatury polskiej na Kursach Naukowych w Warszawie, Władysława Bukowińskiego,
przy bliskim współudziale prof. liter. polskiej w Uniw. Jagiellońskim, Ign. Chrzanowskiego,
i prof. liter. powszechnej na Kursach Naukowych w Warszawie, Ign. Matuszewskiego.

„SFINKS“ w r. 1912 prowadzić będzie w dalszym ciągu swą doniosłą pracę na polu literatury
i sztuki ojczystej, podjętą przed czterema laty pod juljuszowem hasłem: „Z swych serc omyjcie
rdzę, podnieście czoła“.

Nie goniąc za sensacją, unikając powierzchowności i błagi, dawać będzie, jak dotąd, obszerne,
zajmujące i wartościowe rozprawy i studia z zakresu literatury i sztuki polskiej i obcej najzna-
komitszych pisarzy współczesnych, ciekawe powieści, nowele, piękne utwory poetyckie, fel-
jeton „Na fali“, „Wrażenia teatralne“, „artystyczne“, przeglądy literackie etc., oraz doskonałe
reprodukcje na papierze kredowanym godnych uwagi dzieł sztuki i liczne rysunki i winjety w tek-
ście pierwszorzędných artystów naszych.

Początek nowej powieści Stanisława Przybyszewskiego p. t. „Mocny człowiek“, rozpoczętej
w ciekawym i bogatym zeszycie listopadowym, nowi prenumeratorzy otrzymać mogą za do-
płatą 20 kop. Po jej ukończeniu „SFINKS“ drukować będzie nową powieść Wacława Siero-
szewskiego.

Wszyscy prenumeratorzy „SFINKSA“, nadsyłający w ciągu grudnia całoroczną prenumeratę (9 rb.
w Warszawie, 10 rubli pocztą, 12 rb. zagranicą) bezpośrednio do redakcji „SFINKSA“ (Polna 26,
róg Mokotowskiej w Warszawie) otrzymają

Premjum bezpłatne,

pięciotomowy cykl znakomitych powieści Romain Rollanda p. t. „Jan Krzysztof“ w przekładzie
Jadwigi Sienkiewiczówny i Henryka Sienkiewicza.

Cykl ten w oryginale francuskim kosztuje franków 14.

Na przesyłkę pocztową tego pięknego premjum dołączyć trzeba kop. 60.

WYPRAWA ŚLUBNA ZA 150 RUBLI.

SZTUĆCE

stylowe, oksydowane, specjalnie grubo srebrzone, na białym metalu, zastępujące w zupełności srebro, polecają w wielkim wyborze

„EMPIRE“



„SECESJA“

Bracia HENNEBERG

WARSZAWA, TRĘBACKA № 1. (róg Krakowskiego-Przedmieścia.)

KOMPLET na 12 osób, składający się ze 105 sztuk, a mianowicie: 12 noży stołowych, 12 widelcy stołowych, 12 łyżek stołowych, 12 noży deserowych, 12 widelcy deserowych, 12 łyżeczek herbacianych, 12 łyżeczek do kawy, 1 łyżki wazowej, 1 łyżki półmiskowej, 1 widelca półmiskowego, 1 noża do masła, 1 noża do sera, 1 cukiernicy, 1 cząłków do cukru, 2 korków, 12 kozielek w OZDOBNEJ DĘBOWEJ KANTYNIE.